

# Kazimierz Budzyk

---

## O Franciszku Siedleckim wspomnienie

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 36/3-4, 375-386

---

1946

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

## O FRANCISZKU SIEDLECKIM WSPÓMNIENIE

Na parę lat przed wojną miały miejsce w Warszawie dwa jubileusze, jakże symptomatyczne dla sytuacji, w jakiej znajdowała się wtedy polska nauka o literaturze. Jeden jubileusz związany był z rocznicą działalności naukowo-pedagogicznej Józefa Ujejskiego, drugi, nie oglądając się na żadne rocznice, stał się manifestacją kierunku naukowego, któremu w młodych swych latach bezskutecznie torował drogę Kazimierz Wóycicki. Organizacyjna oprawa jubileuszu Ujejskiego była na jak najwyższym poziomie. Odbyła się wspaniała uroczystość, obecni byli wszyscy przedstawiciele nauki i władz akademickich, wszyscy dostojnicy państwowi i cały legion uczniów. Godnie hołd oddano zasłudze. Zwyczajowo w takich razach przewiduje się wydanie księgi pamiątkowej. W tym wypadku o fundusze nie potrzebowano się troszczyć. Ukonstytuował się komitet redakcyjny, odbył parokrotnie zebrania, ale koniec końcem księga nie wyszła. Uczniów Profesora było stosunkowo dużo; gdy jednakże zaczęli się oni między sobą rozglądać, okazało się, że ten już się literaturą nie zajmuje oddawna, tamten główną uwagę od lat poświęca pedagogice, ów odbiegł od czynnej pracy naukowej, inny wreszcie reprezentuje zainteresowania odbiegające od prawd, głoszonych przez Mistrza. Jednym słowem: był nauczyciel, przecież wcale nie tak późnej miary, było też sporo jego dość uzdolnionych uczniów, ale nie było szkoły — oczywiście szkoły w znaczeniu naukowym, takiej jak n. p. szkoła historyczna krakowska, czy słynna na cały świat filozoficzna warszawska. Niemal równocześnie z tym absurdalnym w warunkach przedwojennych wypadkiem, że nie mogła powstać tego typu publikacja nie z braku funduszy, lecz z braku autorów — równocześnie z tym, w małej drukarni warszawskiej, w niesłychanie ciężkich warunkach (45 zł za arkusz wobec 150-ciu normalnie) powstawała imponująca nie tylko rozmiarami księga poświęcona Kazimierzowi Wóycickiemu, impreza wydawnicza, której duszą był Franciszek Siedlecki. Z publikacji tej zrobił Siedlecki manifestację pewnej ściśle określonej szkoły badawczej, która rozwijała się samorzutnie i bez kierownictwa profesorskiego. Wóycicki był nie tyle jej mistrzem, co Nestorem, wspominającym swe wła-

sne boje prowadzone w imię wiedzy teoretycznej przeciwko panującej wszechwładnie metodzie przyczynkarsko-filologicznej. Bardzo skromna, ale jakże wzruszająca była uroczystość wręczenia jubilatowi księgi. W prywatnym mieszkaniu jednej z naszych koleżanek, bez uniwersyteckich przedstawicieli nauki, bez dostojników państwowych — ale za to z serdecznością i oddaniem, które było dla Wóycickiego nie mniej ważne niż oficjalne przemówienia, podnoszące położone przez niego zasługi. Patrzył wtedy Wóycicki na nas młodych z dumą i dużą wyrozumiałością dla zaciętości polemicznej naszych wystąpień, patrzył z uczuciem człowieka, który widzi zbliżający się kres własnej swej działalności i żałuje, że właśnie teraz nie jest o dwadzieścia parę lat młodszy.

Nasza grupa polonistyczna wywalczyła sobie samodzielną pozycję, choć pozbawiona była kierownictwa doświadczonego i przodującego jej w wysiłkach mistrza. W czasach kiedy żaden z wybitnych profesorów polonistyki nie potrafił stworzyć własnej szkoły badawczej, my tworzyliśmy ją bez profesora. Bez profesora, ale za to z Siedleckim. Każdy z nas reprezentował oddzielną dziedzinę teoretyczną, u której podłoża tkwiły wprowadzić wspólne wszystkim przesłanki metodologiczne, ale bez Siedleckiego wysiłki każdego z nas luzem by sobie chodziły. Nie osiągnęlibyśmy żadnych rezultatów o charakterze społeczno-naukowym, nie zdołalibyśmy przełamać niechęci, a niekiedy wrogiego nastawienia, jakie wobec teorii literatury żywili oficjalni przedstawiciele nauki — gdyby właśnie nie Siedlecki. On był duszą całej grupy, on pierwszy uzyskał nieprzeciętne osiągnięcia pozytywne w dziedzinie, którą reprezentował i przez to był wzorem nam wszystkim, którzyśmy przecie wyrastali dopiero z atmosfery seminarium, on nadawał ton każdemu wystąpieniu na zewnątrz, on wreszcie organizował i prowadził naszą studencką jeszcze na początku akcję wydawniczą. Był to duży szmat jego życia. Kapitał entuzjazmu, poświęcenia i wysiłku włożony w „robotę“ sięgał tak wielkich rozmiarów, że nie sposób pominąć tego milczeniem, choćby nawet wyniki w ocenie postronnego obserwatora nie sięgały tego poziomu, do jakiego chciał je podnieść Siedlecki. I dlatego słuszną wydaje mi się rzeczą odtworzyć w tym wspomnieniu pośmiertnym dzieje tych bojów o lepsze jutro polskiej nauki o literaturze, które Siedlecki inicjował i którym zawsze w pierwszym szeregu przewodził.

Tak się złożyło, że rok akademicki 1929/30, który był pierwszym rokiem studiów uniwersyteckich Siedleckiego, przyniósł stosunkowo wiele nieprzeciętnych jednostek. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności od razu już na pierwszych ćwiczeniach proseminaryjnych zetknęli się wszyscy ci, którzy niedługo potem odnaleźli się we wspólnej pracy, świadomie już organizowanej. Siedlecki był od nas o parę lat starszy, toteż

wszyscyśmy się dokoła niego skupiali. Byli tam: Stefan Żółkiewski, Stanisław Westfal, Ludwik Fryde, Janina Kulczycka, no i ja także — przyłoczony wtedy różnicą, jaka istniała między ich wykształceniem naprawdę bardzo wysokim, a poziomem prowincjonalnego gimnazjum, w którym zaledwie posłyszane nazwiska Kasprowicza, Wyspiańskiego i Żeromskiego reprezentowały najnowszy etap rozwojowy naszej literatury. Z młodszego rocznika dołączyli się: Józef Kuroczycki, Jan Baculewski i Zdzisław Libin, a prócz nich nawet stowarzyszili się z nami starsi od nas: Władysław Bieńkowski i Dawid Hopensztand. Kontakty osobiste bardzo prędko zacieśniły się organizacyjnie. Z wyjątkiem Westfała, którego pochłonęło bez reszty językoznawstwo, wszyscy znaleźliśmy się w Kole Polonistów, będącym wtedy w punkcie zwrotnym prądów, nurtujących ówczesne pokolenie studenckie. Myśmy natrafili właśnie na sam koniec dość długiego okresu, w którym młodzież polonistyczna pozostawała pod nieprzepartym urokiem Żeromskiego. Sekcja badania twórczości Żeromskiego nadawała ton całemu Kołu Polonistów; zebrania naukowe tej sekcji były spontanicznymi manifestacjami uczuć społecznych. Na naszych oczach Żeromski w jednym roku nagle się skończył. Przestało nas bawić to zbiorowe podniecanie się społeczne, gdyż romantyczny charakter społecznej ideologii Żeromskiego zawieszał w próżni wszystkie te problemy, których jakże ostrą i bezwzględną wyrazistość mogliśmy w latach potężniejącego kryzysu obserwować na codzień. Odwróciliśmy się więc od Żeromskiego i staliśmy się bałwochwalczykami czcicielami nauki. Vice-prezesem naukowym Koła został Żółkiewski, zaś Siedlecki rozpoczął intensywną działalność naukowo-organizacyjną. Na początek powstała sekcja teorii literatury i metodologii badań literackich, której kierownictwo objął Żółkiewski, wtedy już zaawansowany w tej trudnej dyscyplinie badawczej. Ruchliwość Siedleckiego doprowadziła wkrótce do powstania dalszych dwu sekcji: teatrologicznej pod kierunkiem Kuroczyckiego i socjologii literatury, którą prowadził Hopensztand. Fryde stworzył swą własną sekcję: krytyki literackiej i wnet zgromadził dokoła siebie zwarte grono uczniów, młodszych od siebie kolegów, z których w trwalszy sposób zapisałi się: Andrzejewski, Król, Lichański, Skwarczyński.

Działalność Koła Polonistów coraz to pogłębiała się i zataczała szersze kręgi. Największe znaczenie naukowo-wychowawcze miała dla nas wszystkich praca Żółkiewskiego, który udostępnił nam poznanie najnowszych osiągnięć współczesnej myśli metodologicznej. Każdy z nas starał się stosować je na terenie swojej specjalności, wiele też przejął z tego Siedlecki. Propagowaniem tej wiedzy wśród liczniejszego już audytorium polonistów zajął się głównie Jan Baculewski, z jednej strony w ramach zebrań naukowych kierowanej przez siebie

sekcji historii literatury, z drugiej zaś przez świadomie organizowaną akcję na terenie seminariów wyższych obydwu profesorów: Ujejskiego i Krzyżanowskiego.

Dyskusje nad pracami magisterskimi dawały wiele okazji do kompromitowania bezsensownej biografistyki czy demaskowania psychologizmu wraz ze wszystkimi jego konsekwencjami, jakie za sobą pociągał. Baculewskiemu dzielnie w tym sekundował Tadeusz Szulc, późniejszy autor książki na temat „Muzyki w dziele literackim”. Niezależnie od nich dużą ruchliwość na terenie seminarium profesora Ujejskiego przejawiał Fryde, który również dużo korzystał od Żółkiewskiego, zanim nie przeszedł całkiem na teren krytyki literackiej, gdzie już miał na stałe pozostać. Bardzo poważne wyniki osiągał także Józef Kuroczycki na swych zebraniach sekcji teatrologicznej. Poddawano tam gruntownej analizie tkwiące w dziele dramatycznym wartości sceniczne, których wydobyć się szło potem obserwować w teatrze. W następujących po każdym przedstawieniu zebraniach każdorazowe dzieło sztuki scenicznej znajdowało wyczerpujące omówienie w duchu najnowszych teorii teatrologicznych. Kuroczycki zainicjował także i wspólnie z kierownictwem Reduty rozpoczął realizowanie nowego typu imprez kulturalnych. Były to cykle współczesnej poezji w opracowaniu naukowo-literackim członków Koła Polonistów, urzeczywistniane przy współudziale takich wykonawców, jak Wierciński, Wiercińska, Kunina, Małyniczówna, Wyrzykowski. Te nasze poranki niedzielne w Reducie odegrały dużą rolę na tym odcinku naszej kultury. Opracowaniem recytacyjnym kierowali nasi prelegenci, a że reprezentowaliśmy pewien określony stosunek do wiersza, powstał w ten sposób nowy styl recytacyjny, w którym tępiiliśmy patos deklamatorski à la Rychterówna, na rzecz wydobywania z tekstu jego istotnej zawartości.

Największe jednak znaczenie i największą popularność posiadały organizowane przez nas odczyty i zebrania publiczne o charakterze ideologicznym. Koło Polonistów było istotnie kuźnicą myśli demokratycznej na terenie studenckim. Jej najżywiej bijącym ogniskiem była oczywiście sekcja socjologii literatury, prowadzona przez Hopensztanda, z porywającymi zawsze wystąpieniami Bieńkowskiego. Obok odczytów dla szerszej publiczności organizowaliśmy także wieczory autorskie, poświęcone takim poetom, jak Tuwim, Słonimski, Wittlin, Broniewski, wieczory wkraczające nieraz w dziedzinę poezji sowieckiej. Niedługo jednak trwały te czasy, kiedy Kruczkowski mógł u nas, wobec wypełnionej po brzegi auli, interpretować społeczny sens twórczości Majakowskiego. Od roku 1935 potężnieją siły reakcji także i na uniwersytetach, nasza pozycja staje się coraz trudniejsza, zwłaszcza gdy straciliśmy opiekuna i wielkiego obrońcę w profesorze Ujejskim, który został powołany w tym czasie na stanowisko podsekretarza stanu

w Min. Oświaty. Gdy na walne zebrania nasze usiłowały wtargnąć uzbrojone bojówki endeckie, wystarczyło, by pojawiła się dostojna postać Profesora, który swym autorytetem i olimpijską godnością spychał precz nawet najbardziej rozzuchwalonych pałkarzy. Potem zabrakło tej tarczy, za którą bezpiecznie mogliśmy się chronić.

We wszystkich imprezach Koła Siedlecki zawsze brał jak najżywszy udział. Nie na tym jednak polega wielkie znaczenie jego działalności. Cenny niezwykle był jego osobisty wkład płomiennych uczuć społecznych do ogólnej atmosfery, jaka u nas panowała, jednakże organizowanie prac naukowych, tworzenie biblioteki i akcja wydawnicza były tą najpoważniejszą legitymacją, jaką dzięki Siedleckiemu mogło się Koło nasze wykazać. Na polu naukowym byliśmy zawsze propagatorami potępnego zrazu nowatorstwa, które — jak się później okazało — niejednokrotnie potrafiło zwyciężyć. Nasza polemika z dotychczasową wiedzą o literaturze ujawniała jej pozytywistyczny charakter, który z jednej strony wyrażał się w przypadkowym dobieraniu faktów, poddawanych niby to „naukowej“, bo przecie ścisłej opisowo obróbce, z drugiej zaś polegał na prostym zestawianiu tak spreparowanych faktów dla ustalenia praw, rządzących dostrzegalnym przebiegiem zdarzeń. Myśmy dopominali się o prawo budowania teorii wyjaśniających, które poza tym poddawaliśmy surowym rygorom współczesnej metodologii. Jakże łatwo niestety mogliśmy ponad wszelką wątpliwość udowodniać niepoprawność metodologiczną prac naukowych naszych wielkich uczonych: Ileż niewzruszonych powag rozsypało się tam na tych naszych zebraniach! Nie przepuszczaliśmy nikomu. Obok metody filologicznej zwalczyliśmy niemiecką duchologię idealistyczną i wczuwalnictwo estetyki, poddawaliśmy surowej kontroli naukowej każdy sąd pokrywany powagą togi profesorskiej, a nie posiadający odpowiedniej dokumentacji merytorycznej czy poprawności formalnej. We własnych swych pracach pozostawialiśmy na boku dziedzinę historyczno-literacką, poświęcając się całkowicie badaniom t. zw. formalnym. Siedlecki najwięcej sobie używał w tych naszych i tak już nazbyt ostrych dyskusjach — pierwszy zresztą przeniósł je na łamy poważnej prasy naukowej. Dzielnie mu sekundował Żółkiewski, który — szczerze powiędziawszy — najwięcej w tym wszystkim „zawinił“, przez to, że dał każdemu z nas w rękę niezawodne narzędzie krytyki, oparte na dorobku współczesnej myśli metodologicznej Zachodu i naukoznawczej analizie dotychczasowych osiągnięć, które każdy z nas na swoim odcinku poznał w ten sposób na wylot. Krytyka nieprzebiegająca w słowach była jednak do pewnego stopnia tylko sposobem wyrażania się i stylem bycia — jak przystało na młodych i bezkompromisowych adwentów nauki. Główny wysiłek szedł na osobiste kształcenie się oraz w kierunku stworzenia odpowiedniego warsztatu pracy i form

wypowiedzi na zewnątrz. Siedlecki najwięcej w tym wszystkim dokonał. Prawdę mówiąc, on sam był twórcą jedynej w Polsce biblioteki specjalnej, zaopatrzonej bogato w publikacje z zakresu teorii literatury, teorii języka i teorii nauki, nabywane za ciuflane grosze z mizernych funduszków warszawskiego Koła Polonistów, — on również powołał do życia i osobiście prowadził „Archiwum tłumaczeń z zakresu teorii literatury i metodologii badań literackich“. Myśmy mu tylko w miarę swych sił pomagali.

Archiwum tłumaczeń rozpoczęło się w roku 1934 od skromnego rozmiarami „Wstępu do poetyki“ Viktora Žirmunskiego. Siedlecki tak określa swoje zadania: „Celem wydawnictwa jest wypełnienie jednej z najbardziej uderzających luk polskiej nauki o literaturze: podczas gdy zagranicą i u nas od dawna rośnie potrzeba pogłębienia podstaw teoretycznych i metodologicznych — jako koniecznej podbudowy badań literackich, polska literatura prawie wcale nie posiadała dzieł, które by mogły tej potrzebie zadośćuczynić. Zapoczątkowana tym zeszytem seria, udostępniając polskiemu czytelnikowi wyniki badań najwybitniejszych uczonych obcych, pragnie częściowo przynajmniej zaspokoić owe potrzeby i pobudzić do dalszych studiów w tej dziedzinie“.

Ocena polskiej twórczości w tym zakresie wcale nie była przez Siedleckiego przesadzona. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że profesor Ujejski, który zgodził się patronować wydawnictwu, podobnie rzecz tę ujmuje. Widać to najwyraźniej z jego przedmowy, którą napisał jako ówczesny kurator Koła Polonistów i życzliwy opiekun wszystkich tych swoich uczniów, co z zamiłowaniem oddawali się pracy, przy czym życzliwość ta wcale nie malała w wypadku gdy kierunek studiów był inny, niż jego własny. Ujejski tak oto sytuację ocenia: „Autor tej książki, wydanej w roku 1923. stwierdza jako fakt, że w ostatnich latach nauka o literaturze rozwija się pod znakiem poetyki. Czyż naprawdę jest to (lub było wówczas) zjawisko ogólne? U nas w każdym razie dziś jeszcze można o nim mówić jako o czymś *in potentia* co najwyżej, nie *in actu*. Objawem wzrostu zainteresowań ściśle estetycznych wśród młodzieży studiującej literaturę jest już choćby to, że Koło Polonistów S. U. W. uznało za rzecz pilną i postanowiło wydać własnym nakładem książkę teoretyczną z tego zakresu. Świadectwem zaś ubóstwa naszego w tej dziedzinie jest to, że nie udało się znaleźć takiej książki dość świeżej daty w języku polskim i trzeba ją było pożyczyć od sąsiadów“. Samo sformułowanie tej korzystnej przecie dla nas opinii Ujejskiego świadczy dobitnie, jak mało kto się w tym u nas orientował. W tej samej publikacji Siedlecki pisze o konieczności „pogłębienia podstaw teoretycznych i metodologicznych badań literackich“, a Ujejski nazywa to „zainteresowaniami ściśle estetycznymi“! Na-

wet Ujejski, przecie nie byłę, kto i nam poza tym przychylny! Czegoż się więc było spodziewać od innych.

Pierwszy numer „Archiwum tłumaczeń“ przyniósł pozycję spoza wschodniego kordonu. W ówczesnej sytuacji politycznej na Uniwersytecie warszawskim było to pociągnięcie odważne i ryzykowne zarazem. Trzeba pamiętać, że był to okres opanowania życia akademickiego przez endeków, okres ghetta ławkowego i prześladowania każdego przejawu postawy demokratycznej. W Kole Polonistów myśmy prowadzili wprawdzie działalność przede wszystkim naukową, a nie polityczną, nie mniej jednak byliśmy stale narażeni na brutalne ataki, na włamania i demolowanie naszego lokalu i na nieustanną nagonkę ze strony endeckich bojówek. Trudno się było na tej placówce utrzymać, tym bardziej, że na Uniwersytecie warszawskim byliśmy jedynym kołem naukowym nieopanowanym przez elementy reakcyjne społecznie. Trzeba przyznać, że imponowały nam osiągnięcia nauki sowieckiej, zwłaszcza na polu teorii i socjologii literatury, nie mniej jednak staraliśmy się być obiektywni. Najlepszym tego dowodem było, że Siedlecki już w pierwszym numerze „Archiwum“ zapowiedział wydanie pism Spitzera, Vosslera, Dibeliusa, Lukacsa i Walzela. Wyrazem tego obiektywizmu było nie tylko urzeczywistnienie tych zapowiedzi, ale — żeby już nikt nie wątpił — dobitnie sformułowana deklaracja zamieszczona w „Postówiu“ do drugiego tomu „Archiwum“: „Zajmując w naszej akcji przekładowo-wydawniczej postawę nie wyznawców, lecz referentów, którzy pragną jedynie unprzystępnić polskiemu czytelnikowi niejako „próbki“ różnych podstawowych kierunków badawczych, nurtujących literaturoznawstwo współczesne, i w ten tylko sposób starają się wpłynąć na ożywienie polskiej myśli badawczej (a Czytelnik niechaj już sam sobie wyrobi opinię o poszczególnych referowanych mu teoriach, metodach...), zajmując taką postawę, świadomie i celowo umieszczamy w jednym tomie prace, reprezentujące tak biegunowo różne stanowiska, jak „neoidealizm“ Vosslera i Spitzera z jednej strony, a „formalizm“ Vinogradowa z drugiej“.

Wszystkie tego rodzaju deklaracje nie mogły nas obronić przed złą wolą i brutalną napaścią. Toteż z biegiem czasu rozluźniły się nasze stosunki z tym terenem i, choć żal nam było porzucać dobrze zorganizowany warsztat pracy, oddaliśmy tę placówkę młodszym, którzy mniej byli „skompromitowani“ w oczach rozpanoszonej endecji.

W dwa lata po wydrukowaniu pierwszego numeru „Archiwum tłumaczeń“ byliśmy świadkami nieoczekiwanego zjawiska, które zaskoczyło dosłownie wszystkich. Jeden z najważniejszych profesorów polonistyki potenił w czambuł całą swoją dość duży i wartościowy dorobek naukowy i „nawrócił się“ na teorię literatury, występując z podstawowym dziełem,



które na naszym gruncie istotnie odegrało rolę programowego „Wstępu do badań nad dziełem literackim“. Książka ta ukazała się jako pierwszy numer serii „Z zagadnień poetyki“, w której profesor Kridl — to o nim właśnie mowa — chciał dać swym uczniom możliwość publikowania własnych na tym polu osiągnięć. W ten sposób powstało drugie w Polsce ognisko nowego kierunku naukowego, choć jeśli chodzi o uczniów Profesora, ci więcej byli wtedy jego wielbicielami niż samodzielnymi kontynuatorami nowej myśli badawczej. Siedlecki w lot zorientował się w sytuacji. Po paru odbytych w ścisłym gronie naradach nawiązał kontakt z Kridlem i niedługo potem z triumfem mogliśmy sobie powiedzieć: habemus Papam. Choć nas z Kridlem dzieliły dość istotne różnice teoretyczne, choć nowo przybrany mistrz w niejednym już wówczas mógł od nas skorzystać, inicjatywa Siedleckiego okazała się bardzo szczęśliwa i dla obydwu stron korzystna. Na szalę świeżo zawartego przymierza rzucił Siedlecki dwa tomy swych „Studiów z metryki polskiej“, a równocześnie rozpoczął robotę redakcyjną nad dalszym numerem Kridlowskiej serii, którym były wspomniane już „Prace ofiarowane Kazimierzowi Wójcickiemu“.

Księga Wójcickiego była nie tylko manifestacją nowych na naszym gruncie kierunków badawczych. Był to również cenny dla nas dowód wspólnoty naukowej ze słynna na cały świat Praską Szkołą Fonologiczną. W toku prac redakcyjnych Siedlecki nawiązał kontakt z Jakobsonem, Trubeckim i Hrabakiem, zaś rezultatem było nie tylko nadesłanie prac przez tych trzech znakomitych uczonych do Księgi, ale też bardzo pozytywne zajęcie się świeżo przez Siedleckiego ogłoszonymi „Studiami z metryki polskiej“ na łamach „Slova a slovesnosti“ — organu Szkoły Fonologów w Pradze. Dalszym, skromnym zresztą dowodem wpływu naszej grupy na szersze forum, było opublikowanie w tymże „Slova a slovesnosti“ mojej rozprawki p. t. „Metodologia stylistyki w Polsce. Pokus o charakterystikę a ocenienie“. Muszę jeszcze raz podkreślić, że nie kto inny, a właśnie Siedlecki był inicjatorem wszystkich tych poczynań, które w rezultacie pomagały nam wydobyć się poza rodzinne podwórko naukowe.

Na naszym ojczystym terenie byliśmy za to jak najostrzej zwaiczani. Były momenty, kiedy stosowało się względem nas wcale nie rycerskie chwytły, na ogół jednak potrafiliśmy sobie wywalczyć trwałą pozycję, a do pewnego stopnia także i szacunek. Gdyby nie Siedlecki, który wnet urósł na poważny autorytet w reprezentowanej przez siebie dziedzinie, wystąpienia polemiczne, w których nie liczyliśmy się z nikim i z niczym, osiągnęłyby może rezultat wręcz przeciwny od zamierzonego. Były te nasze wystąpienia nieraz rzeczywiście za ostre. Częściowo trzeba je położyć na karb niedowarzonej jeszcze młodości, a częściowo wyjaśniać koniecznościami taktyki. Nie chcie-

liśmy dopuścić do tego, żeby powtórzyły się dzieje poprzedzającego nas pokolenia, którego przedstawicielem był właśnie Wóycicki, tak łagodnie upominający się o „Jedność stylową utworu literackiego“ czy „Formę dźwiękową prozy i wiersza polskiego“, że choć uznawany był w towarzystwach naukowych, nie zdołał mimo to realizowanemu przez siebie kierunkowi nadać ważności, na jaką w istocie zasługiwał.

To, że nasza grupa zdołała sobie wywalczyć odpowiednią pozycję i szacunek u przeciwników, było zasługą głównie Siedleckiego. I nie tylko dlatego, że jego trudno już było bez skompromitowania się atakować za pseudonaukowe doktrynerstwo, ale też z powodu związanego z osobą Siedleckiego układu stosunków z najpoważniejszymi u nas przedstawicielami nauki. Siedlecki potrafił wyrobić nam możnego opiekuna, z którym wszyscy w Polsce musieli się liczyć, w Zygmuncie Łempickim, wbrew diametralnie różnym poglądom teoretycznym w nauce i na przekór odmiennemu stanowisku, jakieśmy zajmowali na niaszczyźnie społecznej. Łempicki, współpracownik „Kuriera Warszawskiego“ i skrajny reprezentant prawicy, nie zawahał się poprzeć swym autorytetem naszych publikacji, uczestniczył w organizowanych przez Siedleckiego manifestacjach wydawniczych, wyraźnie sam patronował, chociaż, a może właśnie dlatego, że z drugiej strony gromy na nas padały. Bardzośmy sobie cenili tę bezinteresowną przyjaźń Łempickiego, — dużo serca w nią wkładał Siedlecki.

Mniej może bezpośrednio, bo na dystans, jaki dzielił Warszawę i Kraków, ale również bardzo serdeczne były stosunki Siedleckiego z grupą językoznawców krakowskich z Kazimierzem Nitschem na czele. Językoznawstwo polskie miało w nas naturalnego sprzymierzeńca, gdyż w gronie specjalistów „od literatury“ my jedni nawoływaliśmy do oparcia badań literackich na ścisłej wiedzy lingwistycznej. Najlepiej realizował ten postulat w swych pracach właśnie Siedlecki, zaś mój własny odcinek — stylistyka — pomyślany był wprost jako gałąź badań językoznawczych, oparta na fundamencie nauki o składni i znajomości różnorodnych systemów językowych, istniejących współcześnie i historycznie w polszczyźnie. Swoją drogą mieliśmy szczęście do profesorów, którzy na terenie studenckim uchodzili za wcielenie tyranii. Podobno przed drzwiami gabinetów Łempickiego i Nitscha drżały kolana nawet najodważniejszym studentom. Jak to było możliwe, my nigdy nie mogliśmy tego zrozumieć — tak miłe i serdeczne właśnie z nimi nas łączyły stosunki.

Kiedy w roku 1934 ukazywał się drukiem „Wstęp do poetyki“ jako pierwszy numer „Archiwum“, twierdził Ujejski w przedmowie, że tego rodzaju badania są u nas „*in potentia*“ co najwyżej, nie „*in actu*“. Jakżeż gruntownie musiałby zmienić

ten sąd nieodżałowanej pamięci Profesor, gdyby mu przyszło wypowiedzieć swoją na ten temat opinię już cichożby w roku 1937! Wartość wysiłków naukowo-organizacyjnych Siedleckiego trzeba mierzyć rozmiarami tych przemian, jakie się w przeciągu tych trzech lat dokonały. Siedlecki osiągnął nie byle jakie wyniki. Oprócz dwu sporych tomów „Studiów z metryki polskiej“ z jego nazwiskiem wiąże się w tym okresie drugi i trzeci numer „Archiwum tłumaczeń“ („Z zagadnień stylistyki“ i „Morfologia powieści“) i „Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu“, nie licząc artykułów ogłaszanych w poważnych czasopiśmie naukowych. Równolegle z tym wszystkim redagował Siedlecki piąty tom swego „Archiwum“, zbiór rozpraw członków „rosyjskiej szkoły formalnej“. Mimo wyjazdu do Paryża pracy nad tym wydawnictwem nie przerwał i nadsyłał stamtąd tłumaczone przez siebie teksty, które myśmy drukowali w Warszawie. Publikacja ta stale się rozrastała. Redakcyjne „Posłowie“ przekształciło się w dwie gruntowne rozprawy, historyczną Hopensztanda i metodologiczną Żółkiewskiego. Książka już, już miała się ukazać na półkach księgarskich, gdy właśnie wybuchła wojna. Nakład zniszczony częściowo w roku 1939, zmarniał do reszty w czasie okupacji, w związku z wprowadzeniem ghetta, skąd mimo wysiłków Siedleckiego nie udało się go wydobyć. Jedyny zachowany egzemplarz pochłonęło totalne zniszczenie Warszawy po powstaniu sierpniowym. Losy tego wydawnictwa wspominam dlatego, że była to publikacja, z którą Siedlecki długie lata się pieścił i duże do niej przywiązywał znaczenie. Obok książki Wóycickiego miała to być druga, jeszcze potężniejsza manifestacja nowych zainteresowań badawczych, którym nasza grupa hołdowała pod żarliwym przewodnictwem Siedleckiego.

Jeśli już mowa o niezrealizowanych, mimo wysiłków, pracach redakcyjnych Siedleckiego, warto wspomnieć nową, oficjalnie zapowiedzianą serię wydawniczą p. n. „Literaturoznawstwo“. Oto tytuły pierwszych czterech zeszytów: 1. Zasadnicze typy dyscyplin humanistycznych (Żółkiewski), 2. Główne kierunki językoznawstwa współczesnego (Budzyk), 3. Z problematyki socjologii literatury (Hopensztand), 4. Przełom w nauce o wierszu (Siedlecki). Ciężka sytuacja finansowa Koła Polonistów i brak jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz spowodowały, że ten plan wydawniczy Siedleckiego nie został nigdy zrealizowany. Z tych samych powodów nie ukazał się przygotowywany zbiór rozpraw „Morfologia noweli“, który miał wyjść jako czwarty numer „Archiwum“. W sferze marzeń pozostał również na zawsze zamiar wydawania własnego pisma.

Na jednym z zebrań Klubu Polonistów, założonego z inicjatywy Siedleckiego i Żółkiewskiego, w dyskusji nad którymś z naszych referatów, przypierany do muru Irzykowski wyrzucił z siebie pod naszym adresem jak obelgę: „tak, ale panowie nie kochacie literatury“. Istotnie — co do tego, wszystkie pozory

świadczyły przeciwko nam, bośmy przecie byli bałwochwałcami poprawnych metodologicznie badań teoretycznych, zaś troskę o samą literaturę zasadniczo pozostawialiśmy krytykom. Kto znał choć trochę Siedleckiego, wiedział doskonale, że pozory te pokrywały wielkie umiłowanie piękna, nie tylko zresztą tego, co jest zaklęte w słowie. Siedlecki miał niezwykle żywy stosunek do sceny, a szczególnie do filmu, którego był niepoślednim znawcą. Co zaś do samej literatury — tutaj Siedlecki maskował się jeszcze usilniej: któż go znał jako dużej miary artystę, jako twórcę przeuroczych wierszy dla dzieci, z którymi zdradzał się tylko przed najbliższymi!

Ilekrót we wspomnieniach przywołuję na pamięć te parę lat swojej współpracy z Siedleckim, zawsze uderza mnie niesłychana żarliwość wszelkich jego przekonań i bezkompromisowość w walce o zwycięstwo umiłowanych idei naukowych czy społecznych. Była to walka prowadzona w warunkach, które podkopywały i tak już nie tegie jego zdrowie. Stałe omal w nędzy studenckiej, a mimo to cały oddany sprawie i nigdy nie myślący o sobie, wiecznie gotów do jak najostrzejszego protestu przeciwko wszystkiemu, co godne potępienia, pryncypialnie nieprzejednany w swym stanowisku — a przy tym subtelny w codziennym współżyciu i przesadnie delikatny w stosunkach prywatnych, zawsze pełen najrozmaitszych pomysłów organizacyjnych, często nieopartych na trzeźwej ocenie możliwości ich realizacji — a mimo to wytrwały w raz podjętej pracy i ofiarny do ostateczności, gdy chodzi o przeprowadzenie rozpoczętej akcji — jednym słowem był to szalenciec boży, który raczej zatraci się w służbie idei, niżby kiedykolwiek miał się jej sprzeniewierzyć.

Takim był Franek Siedlecki.

Na tym chyba zakończę. Nie chcę bowiem dotykać zawsze żywej treści wspomnień, będących własnością tych, dla których śmierć Siedleckiego była wstrząsającym przeżyciem, czy ciosem ponad normalną wytrzymałość człowieka.

\* \* \*

Siedlecki urodził się 6 czerwca 1906 roku w Kamieńcu Podolskim. Wykształceniem jego kierował ojciec, sędzia, gdyż już wtedy zdrowie Franka nie pozwoliło na normalną naukę szkolną. Po pierwszej wojnie światowej Siedlecki przyjeżdżają do Polski, przebywając kolejno w Rajgrodzie, Ostrołęce, Kuczborku, Górznie, Warszawie. Do gimnazjum (od VI-ej klasy) uczęszcza Franciszek w Mławie. Tych czasów, jeszcze uczniowskich, sięgają początki jego działalności: przodujący w klasie Franek zakłada pismo literackie, które zresztą nie pozostało bez wpływu na dorosłą część miejscowego społeczeństwa. Na Uniwersytet Warszawski wstąpił Siedlecki w r. 1929 i wnet siebie odnalazł, rozpoczynając już od drugiego roku gruntowne stu-

dia wersyfikacyjne i ogólnoteoretyczne. Były to dociekania prowadzone niezależnie, a częstokroć wbrew normalnym wymaganiom uniwersyteckim. Po paru latach zdobył Siedlecki gruntowną wiedzę w obranym przez siebie zakresie, a poza tym oczywiście rychło opanował materiał zakreślany rygorami egzaminacyjnymi, choć pod koniec uprawiał uporczywy sabotaż przeciwko swemu dyplomowi magisterskiemu. Dlatego formalne ukończenie studiów nastąpiło dopiero w roku 1936. Zajęty pracą naukową i akcją wydawniczą, opartą na skromnych funduszach Koła Polonistów, żył nie bardzo wiadomo z czego i pracował w warunkach, które graniczyły z kompletną nędzą. Zbyt był bowiem ambitny, żeby zabiegać o protekcje, konieczne w ówczesnym systemie dla uzyskania pomocy z instytucji, *ex officio* obowiązanych popierać naukę. Absurdalność tej sytuacji i trudności życiowe Siedleckiego dostrzegał jeden tylko Julian Krzyżanowski, który poza doraźnie podsuwaną pracą zarobkową wyrobił mu stypendium do Francji na okres od listopada 1937 do czerwca 1938. Po powrocie z Paryża Siedlecki w dalszym ciągu wszystkie swe siły oddawał pracom redakcyjnym (5-ty tom „Archiwum tłumaczeń“: „Rosyjska szkoła formalna“) i naukowym, będąc zatrudnionym jednocześnie w dziale starych druków Biblioteki Narodowej, jako luźno z tą instytucją związany pracownik, choć w roku 1935/36 odbył kurs bibliotekarski organizowany właśnie przez tę bibliotekę.

Wojna, wędrówka z okrażanej przez Niemców Warszawy, powrót po kapitulacji, wszystkie ciężary okupacyjnego życia, wtlaczanego w podziemia, śmierć ukochanego brata Jerzyka — wszystko to wykruszyło stopniowo i tak już słabe siły Siedleckiego, zaś warunki nie pozwalały na racjonalne ratowanie zdrowia. Kilka poważniejszych przeziębień, grypa, z której tyle razy organizm zwycięsko wychodził, i dalszy ciąg całkiem „normalny“: zapalenie płucnej i gruźlica. Nie pomogły wysiłki lekarzy ani starania najlepszej Franka przyjaciółki — Dody Knisplówny. Zgasł Siedlecki dn. 10 lutego 1942 r. Pochowany na Powązkach w grobie rodzinnym spoczął po pracowitym i pełnym nieustannych wysiłków życiu, którego kres zamknął wcale nie tak błahy rozdział polskiej nauki o literaturze.

W obliczu nowych zagadnień, w skali nieproporcjonalnie większej rychło może pamięć o tym zagaść. Siedlecki pozostałby wtedy jako autor dwu książek i kilkudziesięciu artykułów, co w sposób bardzo krzywdzący umniejszałoby znaczenie jego działalności i wysiłków nad miarę. Niechże niniejsze wspomnienie tę zrośniętą z młodym pokoleniem polonistycznym sylwetkę uratuje od niepamięci dla przyszłych generacji naukowych, bo my, cośmy z nim współpracowali, nigdy go nie potrafimy zapomnieć.

Kazimierz Budzyk